ŚMIETNIK

STEFAN WIERZYŃSKI: *Żołnierka.*
Kraków — Wilno.
Nakład Harcerskiej Spółki Wyd. w Krakowie. 1921.

OKŁADKA POMYSŁU KAZIMIERY ADAMSKIEJ.

STEFAN WIERZYŃSKI

ŚMIETNIK

WILNO 1921

NAKŁADEM i DRUKIEM L. CHOMIŃSKIEGO

KSIĘGARNIA STOW. NAUCZYCIELSTWA POLSK. W WILNIE.
M. ARCT: WARSZAWA, POZNAŃ, LUBLIN, ŁÓDŹ, LWÓW.

TŁOCZNIA „LUX", WILNO.

ŚMIETNIK.

Śmietnik mam w duszy: potargane listy,
niedoszłych pragnień nadpsute owoce,
kamieni stosy — jasne ametysty,
topazy złote i ciemne jak noce,
opale barwne, jasno-ciemne blaski,
złota promienie, prastare robrony,
gramofonowe głupie, dzikie wrzaski
i Szopenowskie rozmarzone tony,
i rękawiczki zbrudzone balowe,
kokardek stosy barwnych z kotyljona,
wrażenia stare i wrażenia nowe
gdzie radość żyje, albo radość kona.
Mam w duszy wszystko, co tylko los kiedy
wyrzucił z swego łona precz, jak zdarty
łachman swej cudnej po-niebiańskiej schedy,
lub jako liczman odrzucił wytarty.

Śmietnik mam w duszy, gdzie obok szpargału
zmiętej, starganej, poszarpanej wstążki
leżą zaklęte w karty mojej książki
jasne marzenia cudu — ideału.
Śmietnik mam w duszy... Szukaj, jeśli ona
coś ciekawego dla ciebie przedstawia,
a może znajdziesz to, co chociaż kona,
to ślady życia po sobie zostawia.
Szukaj, gdy zechcesz... Dusza moja teraz
dla wszystkich zawsze i wszędzie otwarta,
Szukaj... Ja wierzę, że ci w rękę nieraz
wpadnie ciekawa, może nowa karta,
lecz zasadniczo... po co ci te trudy,
tyle hałasu, rozgwaru i krzyku...
Porzuć twe chęci — zbędziesz zwykłej nudy,
bo... i cóż można odnaleźć... w Śmietniku?

WIOSENNA SZARUGA.

Idę przez ciche parkowe aleje,
idę samotny. Pada drobny deszcz
i smutek dziwny naokoło sieje
i wywołuje zniechęcenia dreszcz.
Woda z ubrania ocieka na ziemię,
Drżące kropelki pryskają z pod nóg...
Idę, dźwigając myśli ciężkie brzemię,
idę, wśród światła szarzejących smug.
Po co wyszedłem? W ogrzanym pokoju,
wpatrzony w drewek roześmiane skry,
mogłem pozostać, odpocząć po znoju
i zdala widzieć deszczu blade łzy.
Po co wyszedłem? Żałuję przez chwilę
drgających ciepła roziskrzonych smug...
Szkoda mi dziwnie, żem zacisza tyle
rzucił dla błotem pluskających dróg.
Idę samotny. Krople płaczą z cicha,
a mną potrząsa jakiś dziwny dreszcz...
Wkoło dzień szary monotonją wzdycha
i w twarz mi rzuca rozełkany deszcz.

ŻNIWA.

Barwne głowy jak kwiaty. Sierp srebrzysty w ręku,
a w pochyleniu ciała dziwny wdzięk nieznany.
Kwiat ze zbożem się kładzie w woniejącym pęku.
Pustoszeją, starzeją, zda się, złote łany.

Żniwa. I pełną piersią oddychają pola,
kiedy już na nich snopy złotogrzywe siedzą.
Czar unosi się cicho... Odpoczywa rola...
Już widać odpoczynek: zwolna idzie miedzą

i spojrzeniem usypia wymęczone łona,
co się kłosem złocistym, falując, iskrzyły.
Zmęczenie się odsuwa, znika w dali, kona
i odchodzi daleko — umrzeć na mogiły.

A spoczynek na sierpy żniwiarkom osiada
i opływa na pola opalową szatą...
Cisza w polu... Kłos jeno kłosowi coś gada...
A nad polem — złociste, znojne słońcem, lato.

I tak dobrze, spokojnie. Tak bosko na ziemi...
Jakiś dźwięk się radosny hen w duszy odzywa...
I chciałoby się naraz kłosami złotemi
rzucić słońcu i światu serca swego żniwa.

SONETY BEZSŁONECZNE.

I.

Powstaje cichy, bezsłoneczny dzień
i w szarym świcie porankowym drży,
na łany rzuca senny, szary cień,
na kłosach rosą opałową skrzy.

Wśród lekkich światła niewidocznych drgnień
zwolna się snują znikające mgły...
Pośród minionych niedościgłych śnień
dźwięczą wspomnieniem uronione łzy.

Przed oczy stają zapomniane dni
i czar powraca rozkochanych tchnień,
a myśl się plącze i wspomnieniem drży

i widzę znowu niespełnione sny
w ten smutny, cichy bezsłoneczny dzień,
co w szarym świcie porankowym drży.

II.

Wśród szmerów liści znane głosy słyszę,
co wciąż wołają, co wciąż mówią do mnie...
Ja się wsłuchuję w tę szemrzącą ciszę
i coś z przeszłości marzę nieprzytomnie,

coś, co mi duszę i myśli kołysze,
co mnie raduje i cieszy ogromnie,
co wciąż radością, cudem życia dysze,
co mnie raduje, cieszy nieprzytomnie.

Szczęśliwy jestem w szarą dzienną ciszę,
bo wszystkie myśli powracają do mnie
i znowu dawne miłe dźwięki słyszę,

i czar wspomnienia cieszy mnie ogromnie,
w tę szarą, dzienną, bezsłoneczną ciszę,
co mnie raduje, cieszy nieprzytomnie.

III.

Nie wiem dlaczego ten szary, cichy dzień,
tak niepodobny do innych dni lata,
wspomina dawny, urojony cień,
co jeno z memi myślami polata.

Tak mało miałem tych cudownych drgnień,
o których dusza, fantazją skrzydlata,
myśli i w serce rzuca smutku cień
i zapomnienie dla całego świata,

że mógłbym wcale nie znać smutku tchnień
za tem, co w przeszłość tak szybko ulata
i nie chce zostać w mojej duszy skrach...

A ja... w ten szary, bezsłoneczny dzień
rwę się gdzieś w przestrzeń, w krainy zaświata,
i... oczy miewam chwilami we łzach...

POŻEGNANIE.

Żegnam cię wsi. Wśród twoich pól,
wśród miękkich zwojów rannej mgły
zostawiam mojej duszy ból,
moje zmartwienia, moje łzy.

Wszystko, co rzucił Smutek—król:
te niespokojne moje sny,
pełen rozpaczy głuchej ból
i moje ciężkie gorzkie łzy,

wszystko to z szumem twoich burz
zostawiam tutaj, wśród twej mgły,
wśród czarującej woni róż,

wśród cichych kropel niebios łzy...
Sam, wierząc w świty złotych zórz,
idę, by w życie wcielać sny.

OPADŁE LIŚCIE.

Lubię wsłuchać się czasem w szum wasz tajemniczy,
wy, opadłe na ziemię pożółciałe liście,
co jakby okrzyk serca dźwięczy pokutniczy,
lub jak tęskne wołanie w rozpaczy poświście.

Kiedy jesienne słońce wzbija się w przestworzu,
płoniecie szczerem złotem rozmarzeń
[młodzieńczem,
gdy się chowa, by spocząć w purpurowem łożu,
krwią błyszczycie, wołając echem potępieńczem.

Takie dziwne jesteście w te ostatnie chwile,
zanim wicher was porwie w swym tańcu szalonym,
zanim rzuci o ziemię, by złożyć w mogile,
lub znowu porwać z sobą świstem rozbestwionym.

Ciche, jesienne liście... Dlatego was lubię,
że rozumiem, odczuwam waszą smutną Psyche,
że jak wy, z wichrem lecąc, drogę w życiu gubię,
i żeście takie smutne, spokojne i ciche.

POLSKA JESIEŃ.

Nadchodzisz...
Pożółkłe liście sypią się z drzew...
Na ziemię martwo opada sen...
Cicho przeleciał Jesieni wiew...
Rodzi się mnóstwo upojnych scen...

Zniknęła trawa... Zawiądł już krzew...
Z pól dawno zniknął błękitny len...
Na klony spadła Jesieni krew...
Na ziemię martwo opada sen...

Brzmi ponad światem spoczynku zew...
Babiego lata przędzie się len...
Łamie się w drzazgi uschnięty krzew...

Rodzi się mnóstwo upojnych scen...
Pożółkłe liście sypią się z drzew...
Na ziemię martwo opada sen...

JESIENNE MGŁY.

Jesienne mgły powstają i swe białe szale
owijają wokoło życia tajemniczo —
stroją je w mleczno - białe, spokojne opale
i poją niewymowną piosenką tęskniczą.

Wieszają swe porwane strzępy na gór skale,
lub w przepaściach ponurych nad bezdnami
syczą...
I w niepojętym światu piekielnym chorale
jakieś pieśni niesfornie rozhukane krzyczą.

Straszne są mgły jesienne, kiedy późną nocą
świat cały swymi skręty piekielnie spowijają
i ponuro skrzydłami oparów łopocą...

Cudne są mgły jesienne, gdy się rankiem wiją,
i w promieniach wstających spokojnie migocą,
i zimne blaski słońca jesiennego piją.

BABIE LATO.

Babie lato się snuje w słonecznej poświacie
i białemi pasmami po rżyskach się ściele,
i osiada na liści jesiennym szkarłacie,
i opada na wodne drzemiące topiele.

W nadchodzącej jesieni powłóczystej szacie
białe nitki przewija między złotem śmiele;
w noc—w księżyca czarownej rozbłyska poświacie,
w przecudne ornamenty i wzory się ściele,

w dzień—w słoneczne się blaski, z wiatrem goniąc, wkrada
i wraz z niemi, w uśmiechu kąpiąc się swawolnym
na ludzi srebrzystemi pasmami opada

i o czarze Jesieni, i o życiu polnem,
i o locie podniebnym wesoło powiada
swojem biało-srebrzystem pasemkiem swawolnem.

WINO.

Sczerwieniałego wina są na ganku liście,
co się na zeschłych słupach rok po roku wiją
i swe ciemno-zielone wspaniałe okiście
w purpurze szat jesiennych ze spokojem kryją.

Gdy słońce je oświetli promieniem rzęsiście,
kąpią się w jego blasku, liściami go piją...
kiedy lecą z jesiennym wiatrem posuwiście,
ponurym głosem skargę przedśmiertelną wyją.

Czy w radosnem letniego słońca rozjaśnieniu,
co życiu czar podaje w gorącym uśmiechu
i pocałunki światu rzuca w uniesieniu,

czy w ponurem jesiennych żalów smutnem echu,
cudne są liście wina w swem osamotnieniu,
w swym spokojnym, niewinnie zalotnym uśmiechu.

WIEK STANISŁAWOWSKI.

ŁAZIENKI.

Prof. F. Ruszczycowi.

W Łazienkach przed pałacem jezioro szepce
[z cicha...
Łabędzie płyną zwolna poprzez przeczystą toń...
W Łazienkach przed pałacem cienisty ogród
[wzdycha,
Gdy księżyc na nim złoży srebrzystą swoją dłoń...

W Łazienkach przed pałacem snują się ciche pary...
(Napoje chłodne lekko roznosi smukły paź...)
Miłość rozrzuca wkoło zwodnicze swoje dary...
Spojrzenia powłóczyste rozrzuca On — Król Staś...

Muzyka się rozdzwania w subtelnym menuecie,
Dźwięczy radosną piosnką, tonie w rozpaczy
[skarg...
Król Staś pięknej frejlinie powierza coś w sekrecie,
Spojrzeniem tonąc w cudzie jej rubinowych warg.

W Łazienkach przed pałacem dzieją się dziwne
[czary,
(Wie o tem wszystkiem dobrze wysmukły, blady paź)
Kiedy wydaje bankiet, urządza dziw — maszkary
Pełen humoru, wdzięku, cudowny On — Król Staś.

PERFUMY.

Kostjum rococo, uśmiech blady,
z poza wachlarza spojrzeń toń,
spokojny ukłon — cień lansady,
subtelnych perfum wkoło woń.

„Przybliż się, chłopcze. Twe ukłony
czemu nieśmiałe dziwnie tak?
Pójdź!"... Szelest cichy... i robrony
wionęły lekko... kogoś brak...

Stoi oniemion... Czemu biały
uleciał w przestrzeń szybko cień? —
Perfumy tylko pozostały
i we wspomnieniu cisza tchnień.

Stoi oniemion, opuszczony,
w miękką się perfum tuląc woń...
w marzenia ciche zapatrzony:
kostjum rococo... spojrzeń toń...

GAWOT.

P. Irenie Pikielównie.

Biały salon... Firanki blado-żółte nad drzwiami,
kandelabry lśnią jaśnią w mdłych płomykach stu
[świec,
stary zegar powoli cicho dźwięczy wagami,
z nad szpinetu gawota czar chce w cichą dal
[biec...

Szelest sukien... Markiza tańczy wdzięcznie
[gawota,
(biały obłok materji miękkiej, lekkiej jak mgła)
dźwięk muzyki w cud bajkę czarowaną się mota...
cudnie tańczy markiza kreśląc z wdziękiem swe
[pas.

Wokół—spojrzeń tysiące przepojonych zachwytem,
lekki, cichy podziwu oszołomny pół-gwar
i uśmiechy spowite wymęczenia przesytem,
i perfumy cudownej niepojęty dziw-czar.

Na usteczkach markizy cudny uśmiech wykwita,
mrze u piersi młodzieńczej róży z Indji czar
[kwiat...

Wzrok tancerki pytanie w oczach Jego wciąż
[czyta,
pragnień cudnych tysiące z życia dziwnych tak szat.

Tancerz błaga spojrzeniem w cichym tonie
[marzenia
(lekki, cudny, powiewny, czarujący pół-dyg...)
Kwiat z paluszków markizy leci w dół... od
[niechcenia:
purpurowy na jasnej bieli sukni krwi syk.

Tancerz w miękkich lansadach kwiat z zachwytem
[podnosi
tuli mocno, namiętnie do płonących swych warg
coraz śmielej spojrzeniem upojenia dziw prosi
śląc głębokie westchnienie, pełne bolu i skarg...

A markiza... z uśmiechem wdzięcznie tańczy
[gawota
(biały obłok materji miękkiej, lekkiej jak mgła)...
dźwięk muzyki w cud bajkę czarowną się mota...
cudnie tańczy markiza kreśląc z wdziękiem swe pas.

SONETY O WILNIE.

WILNO W SŁOŃCU.

I.

W zaczarowaną słońca szatę
odziane, Wilno skrzy się, pali...
Blask się układa w czar — poświatę
w bezkresnej, cudnej, jasnej dali.

Jakbyś w dziewiczych snów komnatę,
co zlotem tonów się krysztali
wszedł, kiedy w słońca patrzysz szatę,
co się nad Wilnem skrzy i pali.

Kościelne wieże ogniem płoną,
szare ulice w blaskach toną,
czar się unosi boski, żywy...

Ludziom się w duszach budzi życie,
myślami toną hen... w błękicie,
co tak słoneczny i szczęśliwy.

II.

Kąpie się Wilno moje w słonecznych łask
[powodzi,
wyciąga do obłoków swe wieże jak ramiona
i w wiosny cudną duszę całem jestestwem
[wchodzi,
a wiosna je uśmiechem obdarza rozelśniona.

I Wilno się w promieniach słonecznych znowu
[rodzi
i znowu duchem żyje pośród szczęśliwych grona,
kiedy się kąpie cudnie w słonecznych barw po-
[wodzi
i do obłoków wieże wyciąga jak ramiona.

A słońce swoje blaski promienne, a gorące,
przegląda w Wilji pasie, co białą wstęgą płynie
i pieści miękkie fale, srebrzyście się mieniące,

kryjące skarb tajemny w przepastnej swej głębinie
i nim w zachodu toni różowej nie zaginie,
na Świętej Anny cudnej opiera się koronce.

III.

Już zachód. Cień się czerwony ściele
na całe miasto w ciszę wsłuchane...
Mienią się srebrne Wilji topiele
blaskiem ostatnim już przeplatane.

W Świętego Piotra białym kościele
milkną organy pieśnią rozgrane...
I jakieś cienie tajemne ściele
na Służków zamku więzienną ścianę

zachodni odblask, co w ciszy kona.
Już noc nadchodzi spokojna, cicha,
westchnieniem smutnych dusz roztętniona,

tęsknotą dziwną, co w sercach wzdycha...
radosną wieścią, co w czasie kona...
boleścią żalu z życia kielicha...

TRZY KRZYŻE.

I.

Bielą swych ramion strzelając w zwyże,
okrzykiem bólu stoją na górze
trzy skromne, ciche, kamienne krzyże,
tonąc szczytami w niebios lazurze.

Gdy ptaki lecą nad niemi chyże,
w zachodzącego słońca purpurze,
zda się goreją trzy białe krzyże,
dawnej przeszłości wspaniałe stróże.

Pomniki dawnej, minionej chwały
na krwi męczeńskiej dumnie wyrosły,
z krwi męczenników ciche powstały,

i jako świetne przeszłości posły
hymn, sławą pełny, wiekom zagrały,
pieśń wolną, jasną w błękit poniosły

II.

Już noc nad miastem swe gwiazdy lśniące
na dróg mleczanych rozbłyski niże.
Srebrzysta ciemność. Tylko Trzy Krzyże
stoją świetlane, w niebo bijące.

Iskier się na nich kładą tysiące,
gdy je księżyca srebrna jaśń liże,
gdy one dumne, blade, milczące
w błękitów ciemne strzelają wyże.

Noc się przelewa w nieba błękitach,
srebrzy się cudnie, w obłokach tonie,
co zawisają na nieba szczytach...

Jakieś się dziwne roznoszą wonie
w kwiecia skromnego cudnych rozkwitach,
gdy się sukienką kryją jabłonie.

BELMONT.

I.

Zapada mrok. Na lasu sosny smukłopienne
nadchodzi cisza nocy, cudownie milcząca
i szafirowe szaty rozpuszcza, promienne
zimnym blaskiem srebrnego, bładego miesiąca.

U stóp lasu — gdzieś w dole — miasto leży senne;
życie, ta bezustannie gorączka trawiąca,
zamarło tu na chwilę; spokojem kamienne
jest jako katakumba, grozą śmierci tchnąca.

I zdaje się, że wszystko umarło... Wśród nocy
chwieją się gdzieś pod niebem lampy, skrzypią
[z cicha
jakby jęk rozpaczliwy, co wzywa pomocy...

A las szumi... I ciszę pełną piersią wdycha,
i śpiewa hymn przyrody potęgi i mocy,
i pije czar z wszechżycia przeszłego kielicha.

II.

Gdy las zaszumi pieśń prawieczną siły,
gdy się rozgwarzą niebotyczne drzewa,
wtedy chcą mówić prastare mogiły,
wtedy piosenkę cisza nocy śpiewa.

Potężnym tonem wspomnienia rozbrzmiewa
noc i jej cienie, co tajemnie kryły
pieśń, co się w myślach i duszy przelewa,
twardniejąc z czasem w nieśmiertelne bryły.

Las mówi... Cicho!.. Dusza teraz słyszy
pieśń, co wspomina rycerskie znamiona,
co się łopotem sztandarów kołysze,

w której drży ziemia, hukiem roztętniona
armat... — I cicho znów... — Aż raptem w ciszę
pada kamienne imię Napoljona.

III.

I, jakby cudem zaziemskim wskrzeszone,
Wstają z Cesarzem potężne postacie
żywe — rozkazem pieśni ożywione, —
w złocie orderów, w szarf pysznym szkarłacie.

I między drzewa idą rozszumione...
(Dziwną piosenkę, sosny, teraz gracie...)
Wtem tętent... pędzą rumaki spienione...
Już... książe Józef przypadł na bachmacie.

O nocy jasna, nocy słodka ciszą,
rozkołysana hymnem sławy naszej,
śpiewaj!.. niech światy coraz więcej słyszą

o naszej sławie, o tej chwale, Laszej
o przyrzeczeniach, co się sercem piszą,
a dotrzymują wśród kul i pałaszy...

BALLADA O PIEROTACH.

P. Kazimierze Adamskiej.

Hen, w pałacu, w cud krainie,
gdzie się Dobro ze Złem spotka
i żadne z nich nie zaginie,
a żyć będą jako druhy,
co nie walczą nigdy z sobą —
i żadne z nich nie zaginie —
w takiej to cudnej krainie
żyć będzie dziewczyna słodka —
— Pierotka.

* * *

Żyć będzie w cudnej krainie,
gdzie się Dobro ze Złem spotka
i żadne z nich nie zaginie...
Będzie to dziewczyna słodka,
jak liliji kwiat wysmukła,
jako róże tak urocza,
jak mimoza złota, wiotka —
— Pierotka.

* * *

Kochać będzie — czar miłości
kultem się na ziemi stanie
tu, gdzie teraz tylko gości,
gdzie się jako rzadkość spotka.
Będzie Dobro, będą Złości
połączone przez Kochanie...
ponad wszystkiem będzie słodka —
— Pierotka.

* * *

Będzie biała i powiewna,
taka dobra, taka rzewna,
jak piosenka cudna, śpiewna,
a jak miłość tak urocza,
gdyż miłością sama będzie —
i dla życia cud uprzędzie,
ta dziewczyna, bielą słodka —
— Pierotka.

* * *

Przyjdzie potem Pierot smutny:
dusza jego żalem pusta,
w oczach — życia ból okrutny,
wzgardliwie wygięte usta...
Żal dziewczynę ujmie snadnie,
więc w objęcia mu upadnie,
odda mu się bielą słodka —
— Pierotka.

* * *

Pierot szczęścia pozna czary,
nie zrozumie jej ofiary,
pójdzie dalej, hen, w świat, w życie
z myślą wolną i powiewną...
A dziewczynę słodką, rzewną
tak okropny ból napotka,
że zapłacze pieśnią śpiewną —
— Pierotka.

* * *

Wszystko będzie tak, jak było,
jeno ból się wkradnie zcicha
i nad białych snów mogiłą
załka dziwnie, dziwnie wzdycha...
Na mogile snów i marzeń
uśnie nocą pełną zdarzeń,
dziewczyna, co bielą słodka,
Pierotka. —

SONET WIECZORNY.

Posiwiałe gałązki od szronu
Szepczą z wiatrem wieczorne pacierze...
Zdała biegnie stłumiony głos dzwonu...
Noc zapala swe gwiazdy-dziewierze...

W świetle szarem bladego półtonu
Uchylone kościoła odźwierze
Głucho szepczą memento swe — zgonu,
Zwąc na ciche wieczorne pacierze.

Noc nadchodzi z szelestem robronu,
Co jej ciało spowija mgły cieniem
I tajemne ogłasza powieści...

Wiatr, płynący leciutkim strumieniem,
Cicho, lekko, nieznacznie tak pieści
Posiwiałe gałązki od szronu.

MURZYNI.

I.

Wśród bezgranicznych piasków rozpalonych
niosąc na barkach piętrzące się brzemię,
idą murzyni: wzrok utkwiony w ziemię,
piana zmęczenia na ustach spieczonych.

Powietrze stoi w słupach rozognionych
i zda się martwo, nieruchomie drzemie
w swym połyskliwym, zapylonym szlemie
i blaskach znojnych, żarem roziskrzonych.

Murzyni idą, brzemieniem zmęczeni,
kroki ich ciężkie znaczą pasma piasku,
a bat dozorcy świszcze gdy omdleni,

stają, nie słysząc rozkazów i wrzasku.
I znowu idą słońcem rozpaleni,
gnąc czarne karki w pozłocistym brzasku.

II.

Białych murzynów, niewolników losu,
wlecze się smutna, szara karawana,
chłostą przemęczeń i apatją gnana
pośród okrzyków i przekleństw odgłosu;

a unikając niebezpieczeństw ciosu,
obala słabych w błoto na kolana,
waląc wciąż naprzód, by u stóp bałwana
spocząć—u progu rozkoszy kolosu.

Biali murzyni, których krew czerwona
szarą a brudną zakrzepła się masą
i zagasiła duszę pośród łona. —

Biali murzyni, co nie znają ciepła
ani rozkoszy, co przez cud zrodzona,
którym dobrobyt najpiękniejszą krasą.

U L I C E.

Jak dziwne są dzisiaj ulice,
te zwykłe ulice bezduszne,
pragnieniom przechodniów posłuszne,
błotniste, i brudne, i szare,
przeżyte, i martwe, i stare,
i głupie, i dziwnie bezlice —
jak dziwne są dzisiaj ulice...
Ulice się śmieją słoneczne
i płoną rumieńcem wiośnianym,
pachnącym, młodzieńczym, różanym
i kręcą się wkółko figlarnie,
i chciałyby szaleć bezkarnie;
jak dzieci wesołe i grzeczne
ulice się śmieją słoneczne.
Zniknęły i błoto, i nuda,
bo wieść zabłysnęła radosna,
i tworzyć się nowe chcą cuda,
bo wiosna przychodzi, już wiosna!..
I rodzi się jasna ułuda,
i dusza uśmiechem miłosna...
zniknęły i smutki, i nuda,
bo wiosna już idzie, już wiosna!..

PORANKOWE ZJAWY.

W złocistą ciszę poranków jesiennych
dusza z rozkoszą miękko się osuwa
pełna rozmarzeń i zadumań sennych
w złocistej ciszy poranków jesiennych,
i z myśli, słodkiem wspomnieniem brzemiennych,
świątlaną postać dziewiczą wysnuwa,
w złocistą ciszę poranków jesiennych
kiedy z rozkoszą cicho się osuwa.

* * *

Idzie spowita krwawą wstęgą liści
i złotem słońca cichem a namiętnem
powietrzna mara w tęczowej okiści,
spowita krwawą wstęgą smutnych liści,
i — zda się — tęsknych pragnień roje ziści
swojem spojrzeniem rozkochanem, smętnem,
jak szum opadłych pożółciałych liści,
w jesiennem słońcu cichem, a namiętnem.

* * *

Wiją się białe smętne pasma mgielne,
wiją spokojnie pod wiatru westchnienia...
znikają chwile radosne, weselne,
jak pośród wiatru tęskne pasma mgielne...
i tylko tęsknot roje nieśmiertelne
w życie swych pragnień rzucają spojrzenia...
wokół się wiją tęskne pasma mgielne...
wiją się cicho pod wiatru westchnienia.

MŁODZIEŃCZOŚĆ.

Młodzieńczość rozgłośną nutą
na usta mi się wylewa
i piosnkę, w myślach niesnutą,
cudownie, wesoło śpiewa.

Piosenkę, co w duszy dźwięczy
harmonją tonów rozgraną
i płonie barwami tęczy
przecudną, jasną, wiosnianą.

Młodzieńczość wytryska ze mnie
promieniem jasnych uśmiechów,
dźwiękami słów roześmianych,
miljonem malutkich grzechów.

Młodzieńczość w żyłach mi krąży,
piersi gwałtownie rozsadza,
nic mi na świecie nie ciąży,
nieznana mi żadna władza.

Wesoły jestem, swobodny,
promienny słońca bratanek,
radości życia niegłodny,
bom młody, jak dzisiaj ranek.

I tylko czekam na ciebie
(wiesz... nad koleją u mostu)
nic duszy mi nie kolebie,
bo wiem, że przyjdziesz poprostu.

A w sercu radość zachłanna
coraz rozgłośniej się budzi
i z myśli rwie się hosanna
na chwałę życia i ludzi.

Ś M I E C H.

Radością napełnił mnie śmiech:
jak dziecko się śmiałem rozgłośnie,
cudowny, rozkoszny wśród ech
radością napełnił mnie śmiech.
Wyleciał — jak ptaszę z pod strzech,
świegotał i dzwonił miłośnie...
Radością napełnił mnie śmiech.
jak dziecko się śmiałem rozgłośnie.

* * *

Dotkliwie zabolał mnie śmiech —
płakałem jak dziecko w ukryciu...
Ironji pełen, bez ech
dotkliwie zabolał mnie śmiech
i choć błahostką się zdaje
będę pamiętał go w życiu...
Dotkliwie zabolał mnie śmiech:
płakałem jak dziecko w ukryciu.

ŻYCIE.

RANEK.

W słonecznym, jasnym, rozpalonym blasku,
kochając życie, słońce i pogodę,
trzy białe dziewy szły cicho po wodę,
małych stóp ślady rysując na piasku.

Ciche, spokojne, jak ptaki o świcie
szły białe dziewy w słonecznym rozblasku,
nie znając życia okropnego wrzasku,
niewiele wiedząc, co to znaczy „życie".

Szły w jasnym słońca rozpalonym kasku —
i zdało im się, że świat w swych roztoczach
jest właśnie takim, jakim się w ich oczach
przedstawiał teraz w słonecznym rozblasku.

ZMIERZCH PRAGNIEŃ.

Słońce już zaszło, a na wrzosowiska
zmierzch smutny, tęskny a niezwyciężony
ściele swe miękkie, pajęcze robrony
i ciemność na świat bezgraniczną ciska.

Dziką boleścią zawodu brzemienne
idą przez ciche martwe pola szare
trzy dusze smutne... Utraciły wiarę
w życie, a oczy ich rozpaczą senne.

Poszły się w świata kołysać roztoczach...
i zrozumiały, że nie jest on jasny,
taki cudowny i tak bardzo własny,
jako się dawniej rysował w ich oczach.

W CICHYM SPOKOJU.

Słońce w wieczorne już przechodzi zmiany,
Jasną zielenią sad ustroił lice,
trzy dziwnie ciche, spokojne dziewice
idą przez ogród, piaskiem usypany...

Błądziły długo po świata roztoczy...
I ból je szarpał, troska, nędza żarła...
Ale im z duszy tego nie wydarła,
na co się kiedyś napatrzyły oczy.

I teraz widzą, jak w słonecznym blasku,
kochając życie, słońce i pogodę,
trzy białe dziewy szły cicho po wodę,
małych stóp ślady rysując na piasku.

Potem... boleścią przepełnione oczy,
ze smutkiem, bólem rozpaczne zapasy...
I tęskne łąki jako dom... i lasy
pośród włóczęgi po świata roztoczy.

A teraz... Ogród zielenią spokojny
i dziwna cisza bezstroska wokoło...
Wypogodzone, choć w zadumie, czoło
i cichy koniec dzikiej życia wojny.

POGAŃSTWO.

* * *

Wśród białych brzóz, co stoją smukłe, ciche,
z alabastrowych tonów buduję ci świątynię,
wprowadzam tam moją samotną Psyche,
by złożyć ci u stóp w pogańskiej twej gontynie.

Pogańsko wielbię ciebie — nie za twej duszy kłosy,
jeno za ciała atłas, co miękki tak i biały,
jeno za twoje miękkie, jedwabne, ciche włosy,
co swym zapachem marzeń na duszę tyle zwiały.

Jeno za boski czar, co z twoich warg purpury
rozlewa się jak cudna piosnka wkoło,
za oczu twoich tonie, za tony twojej skóry,
za twój upojny głos, za twe przejasne czoło.

Wielbię cię jak poganin za twego ciała krasy
i wiodę tam, gdzie brzozy falują z wiatrem ciche,
by do nóg twej piękności pochylić stare lasy,
by w czarze twoich linji utulić smutną Psyche.

W alabastrowy chram wśród lasów cię powiodę,
gdzie królem jeno piękno i jasne słońce złote...
I tam, u stóp klęknąwszy, przecudną twą urodę
zaklinać będę w pieśni, w dźwięczące rymy splotę.

I roztęsknione pragnień żarami usta moje,
wtulę w twych warg purpurę, co płoną krwi
[czerwienią,
wtulę w twych miękkich włosów młodzieńcze ciche
[zwoje,
i będę śnił sny cudne, co się rozkoszą mienią.

* * *

Żyć chwilą jasną upojną,
nie smucić serca żałobą
ni troską szarą, a znojną,
jeno oszaleć wraz z tobą.
Zamknąć się w twoje ramiona,
otulić włosów falami...
niech płynie baśń nieskończona...
niech skrzy się cudu blaskami. —
Palić się w warg twych płomieniu,
do krwi całować je, pieścić,
zatonąć w cudnych snów śnieniu
i nie móc w sobie się zmieścić...
Czuć młodość twoją i własną,
płomienną miłość gorącą,
szaloną, upojną, jasną,
strzelistą, żądną i rączą.
Nie myśleć o jutra świcie,
że z czasem przyjdzie wiek starczy,
w ramionach twych skończyć życie
wraz z tobą — tego wystarczy. —

* * *

Na co piąć się do władzy, do zaszczytów się rwać,
na co pragnąć odznaczeń i orderów i gwiazd,
przed możnymi jak trzcina przed wichurą się
[chwiać
i nie kochać swych domów, swoich mieszkań,
[swych gniazd?

Na co? Na co w rozgwarów chaotyczny wszechzew
myśl swą wplątać, gdy ciszy można słodycz wciąż
[pić,
gdy rozkoszny upojeń można nucić praśpiew,
gdy w słodyczy i z tobą można cudem wciąż żyć.

Na co słuchać rozgwarów, okłamywań i mów
drżeć od wstrętu, słuchając i rozpaczy i skarg,
kiedy można się zamknąć w czarowaniu twych
[słów,
kiedy można utonąć w całowaniu twych warg...

* * *

Wtuliłem usta w futra czar,
co na twej szyi cicho śpi
i przecudownych złudnych mar
wspomnienie w oczach moich drży.
I tak mi dobrze... błogi maj
owinął duszę wonną mgłą...
W marzeniach jasny widzę raj,
myśli pragnieniem dziwnem drżą.

Myśli pragnieniem dziwnem drżą,
gdy mnie otulił futra czar,
gdy mnie owinął wspomnień mgłą,
gdy w duszy zbudził dziwny żar...
— A gdybym dotknął twoich warg,
płonących jak szkarłatny smug,
czy w duszy zniknąłby odgłos skarg,
czyby znikł ból z mych życia dróg?

Czy w duszy zniknąłby odgłos skarg?
Czyby znikł ból z mych życia dróg?
Czyby umilknął pragnień targ?
Czyby wstał z mar upojeń bóg?

Nie wiem... W gwiazd srebrny patrzę szlak,
co tak czaruje, wabi mnie
i ciebie mi tak strasznie brak,
i wciąż o tobie bajki śnię.

Ciągle o tobie bajki śnię
i ciebie mi tak strasznie brak...
W barwnej wspomnienia tonę grze
i tak mi smutno, tęskno tak...
I widzę twój cudowny ruch,
beztroski śmiech, opalne łzy —
ustami pieszczę futra puch,
co na twej szyi cicho śpi.

* * *

Myślę o tobie w złocistej jutrzence,
co do mych okien zagląda o świcie,
w marzeniu muskam ustami twe ręce,
twych warg purpurę w młodzieńczym zachwycie.

Myślę o tobie w południa rozkwicie,
co się nad światem w znojnej pali męce,
i widzę ciebie: idziesz w młodem życie,
a kłos zielony całuje twe ręce.

Myślę o tobie wśród wieczoru ciszy,
gdy w szafirowym świat utonął dymie
i spieszczam głośno — nikt mnie już nie słyszy—

twe ukochane, najdroższe mi imię,
co do marzenia o tobie kołysze,
co drobne, ciche, rozgłośne, olbrzymie.

LUBIĘ ZIMOWE KSIĘŻYCOWE NOCE...

Lubię zimowe księżycowe noce,
co wyciągają srebrzyste ramiona
w niebo błękitne, gdzie osamotniona
Selene blada w ciszy się migoce...

Lubię ich ciszę mroźną i srebrzystą,
ciszę zadumań i rozmarzeń sennych,
ciszę pół-szeptów, całunków płomiennych,
ciszę uśmiechem rozmiłowań czystą.

O takiej nocy, gdy w ciszy krysztale
płyną miłosne zawrotne podmuchy,
jak złudne mary, nieuchwytne duchy
zwarte w uścisku upojnym i szale,

mógłbym tak pragnąć, że blask ducha mego
nowe by słońce zapalił na niebie
jasnym promieniem, co zwątpienie grzebie.
i cichem sercem spotkał Nieznanego.

SŁONECZNY DZIEŃ.

Mam duszę pełną słonecznego blasku,
co z nieba żywym potokiem się leje.
Cieszy się dusza, czarem promienieje,
że może istnieć w złotym słońca kasku.

Śnieg pod nogami leży szatą białą,
co brylantami lśni w uśmiechu słońca.
Ziemia tak biała i cudna bez końca,
jakby się po niej żywe srebro lało.

Wśród srebra śniegu i złota promieni
bez celu, chętnie po ulicach błądzę.
Dobrze mi. Daję żebrakom pieniądze...
Oni dziękują mi rozpromienieni.

Jasno tak, cudnie. Śmieję się jak dziecię,
nic mi nie trzeba, nic mi nie brakuje;
i tak stanowczo, tak wyraźnie czuję,
że cudne życie jest w tym pięknym świecie.

OCZY.

P. Irce Druhowinównie.

Czy znasz te dziwne promienie księżyca,
co błyszczą czasem cudownie i miękko,
a jednak zimne są i nie oświeca
nic ich blask, martwą kryjąc świat sukienką?

I wszystko wtedy jakby bladolica
zjawa, co śmierci piastowana ręką...
Gdy je osrebrzy martwy blask księżyca,
choć błyszczą żywo, cudownie i miękko.

Czy wiesz, że twoje oczy są chwilami
podobne blaskom, co martwe i ciche?
Bo ich spojrzenie patrzy, zda się mami,

zda się w nich widać twą młodzieńczą Psyche...
A jednak wtedy nie widzi nikogo,
własnej się myśli posuwając drogą.

OSTATNI AKORD.

Patrzysz na mnie. I po co? Twoje oczy błyszczą
i coś mi ciągle mówią... Po co mówisz do mnie?
Twe pragnienia się teraz już wcale nie ziszczą,
chociażbyś marzeń pasma snuła nieprzytomnie.

Czuję ciągle spojrzenie twych błyszczących oczu,
bo mnie dziś prześladujesz niemi jak sumienie;
w ich rozpacznie błyszczącem namiętnem prze-
[zroczu
widzę coś, co z ust czasem wyrywa westchnienie.

Patrzysz na mnie... Ironji śmiech czasem wykwita
na mych wargach, gdy chwycę spojrzenie w prze-
[locie
i wzrok mój wtedy ciebie „poco patrzysz?" pyta
i rozpala się w blaski jakieś dziwne, kocie...

Przestań patrzeć, to może chwilą dziwnie smętną
zapragnę twoich oczu, co tak dziwnie błyszczą —
ale i wtedy myśli piosenką namiętną
nie zadrżą i twojego pragnienia nie ziszczą.

WIGILJA.

Choinka jasno, bezszelestnie płonie,
płoną też oczy i warg kruże twoje,
płoną twe małe, wypieszczone dłonie...
Jesteśmy sami... pomyśl... sami... dwoje.

Czar się unosi jasny, rozmodlony,
cichy, miłością młodzieńczą płomienny,
plączę się w dźwięczne kolendowe tony
i nastrój wiedzie namiętnością senny.

I raptem cisza... bezbrzeżna... bez granic...
aż w uszach dźwięczy dziwnemi dzwonkami. —
I tak nam dobrze... i świat mamy za nic...
przecie jesteśmy dwoje tylko... sami...

NOC KSIĘŻYCOWA.

O nocy biała, nocy cicha,
gwiazd jasnem srebrem rozelśniona...
Blask twojej ciszy cudem wzdycha,
o nocy biała, nocy cicha...
Daj czar z twojego pić kielicha,
weź moją duszę w swe ramiona...
Weź nocy biała, nocy cicha,
Gwiazd jasnem srebrem rozelśniona.

W śnie pogrążony świat wokoło,
tylko się niebo blaskiem żarzy
tajemnym cieniem kryjąc czoło...
W śnie pogrążony świat wokoło.
W duszy mi dziwnie tak wesoło,
radość też w twojej czytam twarzy,
a świat pogrążon w śnie wokoło,
tylko się niebo blaskiem żarzy.

Księżyc wypłynął z poza chmury,
mistyczne blaski wkoło sieje,
nad ośnieżone miękko góry
księżyc wypłynął z poza chmury.

Rozpędza wszędzie cień ponury,
w najgłębsze wkrada się aleje...
księżyc wypłynął z poza chmury,
mistyczne blaski wkoło sieje.

Czarownie piękną się wydaje
ta biała góra nocą pusta,
kiedy w księżyca blaskach staje,
czarownie piękną się wydaje.
W marzeniach dziwne widzę kraje...
Jak cudnie płoną twoje usta...
czarownie piękną się wydaje
ta biała góra, nocą pusta.

Noc się rozlewa chmurą cieni,
księżyca blaskiem martwo płonie...
Idziemy razem... przytuleni...
noc się rozlewa chmurą cieni...
wśród niebieskawych widm promieni
do ust podnoszę twoje dłonie...
A noc wciąż płynie chmurą cieni,
księżyca blaskiem martwo płonie.

Wokoło cisza jasna, biała,
milczącem szczęściem uśmiechniona...
Wzrok twój namiętnym blaskiem pała...
Wokoło cisza jasna, biała...
Miłośnie dusza mi wezbrała,
ujmuję lekko cię w ramiona...
Wokoło cisza jasna, biała,
milczącem szczęściem rozelśniona.

. . . .

O nocy biała, nocy cicha,
gwiazd jasnem srebrem rozelśniona...
Blask twojej ciszy cudem wzdycha,
o nocy biała, nocy cicha...
Dałaś czar z twego pić kielicha,
wzięłaś mą duszę w swe ramiona...
Dzięki ci, nocy biała, cicha,
gwiazd jasnem srebrem rozelśniona.

BIAŁEJ DZIEWCZYNIE.

HALI.

Wyszłaś jak złudna, senna bajka
z obrazu Greuza czy Van Dycka
w przezroczej bieli swej sukienki
i zaczarowań złote kraje
na życia mego dróg rozstaje
skinieniem małej wniosłaś ręki.

Jasny, jak sukni twej batysty,
obraz w dzień życia wniosłaś mglisty...
I blaskiem słońca rozjaśniony
wiośniane piosnki dzień mi śpiewa,
w radośnych dźwiękach się rozlewa
mój dzień cudowny, dzień wyśniony.

I dobrze mi, i jasno, cudnie,
gdy szczęścia wniosłaś mi południe;
lecz się niepokój rodzi w duszy,
że... może znikniesz tak, jak bajka
z obrazu Greuza czy Van Dycka,
a ja znów sam zostanę w głuszy.

POWRÓT.

Noc... Gwiazd miljony... Księżyc blady...
Wokoło pustka... Lampy płoną...
W czarownej ciszy drzemią sady...
W półcieniach linje ulic toną.

Idziemy razem. Kroki głucho
w ulicach pustych, sennych dźwięczą...
W melodjach walca tonie ucho...
Myśl siatką przeżyć drga pajęczą.

Idziemy razem. Nie wiem czemu
ten powrót miłym jest mi dziwnie...
Teraz, gdy wspomnę, to się jemu
raduję bardzo, tak naiwnie.

Minuty lecą... Czas wciąż płynie
i mnóstwo nowych wrażeń daje.
Chwila rozstania... Czar już ginie...
Sam na ulicy pozostaję.

Idę samotny... Kroki głucho
w ulicach pustych, sennych dźwięczą...
W melodjach duszy tonie ucho...
Myśl siatką przeżyć drga pajęczą...

. . . .

A kiedy wspomnę pani imię,
widzę ten powrót miły dziwnie
i roję jakieś sny olbrzymie,
jak małe dziecko tak naiwnie.

WENUS ANTOKOLA.

Przedpołudnie niedzielne. Słońce żarem pali
zazielenione świeżą młodą runią pola.
Miękka w ruchu, lśniąc w ciepłej rozsłonecznień fali
idzie złocista, jasna Wenus Antokola.

Promień jasnych uśmiechów postać jej kryształi,
rozmiłowana szczęściem drga w oczach swawola,
w źrenicach ma odbicie topazowej dali...
Tak idzie w głębię lasów Wenus Antokola.

Idzie. Niesie pozdrowień miłosnych tysiące
kwiatom, drzewom, motylom i wszemu stworzeniu,
jak płomienie złociste, słoneczne, gorące,

a radość życia niosą jej słowa palące,
które wiatrowi rzuca w cudnem zachwyceniu,
słowa, jako jej dusza weselem dzwoniące.

O WIOŚNIE.

Jest wiosna, słońce, już rozkwita bez,
W duszach nam jasno—wszak jesteśmy młodzi!
(Na rzęsach świata błyszczy tyle łez...
Nas to nie wzrusza... nas to nie obchodzi...)

Jest szczęście złote i radosny śmiech,
a nam tak jasno i cudownie w duszy —
(w każdej się chwili rodzi nowy grzech
i w wielu sercach rozpacz życie głuszy...)

Są twoje usta, twych uśmiechów jaśń,
czar, co otacza twoją drobną postać,
jest przecudowna twoich pieszczot baśń
i cud, co pragnie jeszcze z nami zostać.

I dobrze nam, choć w świecie płyną łzy,
i dobrze nam, i dusza tak radosna,
bo w niej królujesz uśmiechniona ty,
i słońce złote, i młodziutka wiosna.

CHRYZANTEMY.

Zapada zmrok głęboki, niemy...
We fjoletach niebo tonie...
W alabastrowych skier wazonie
marzą w zadumie chryzantemy.

Cień rozpościera swe makaty,
szarą oponę nocy przędzie.
Wsparta o biurko, o krawędzie,
na zamyślone patrzysz kwiaty.

Źrenice, zmierzchem rozszerzone,
patrzą na duże, złote głowy...
We zmrok wieczoru fjoletowy
lecą spojrzenia roztęsknione.

Tęsknisz... W wieczornej ciszy śpiewie
słyszysz piosenki dawne, znane,
przebrzmiałe już i zapomniane,
o których nikt napewno nie wie.

Powstały raptem nieproszone,
gdy zmrok rozpostarł swe makaty,
gdy chryzantemów złote kwiaty
więdną w wazonie zamyślone.

Myśl twa wspomnienia nitkę przędzie,
w dawno minionych czasach tonie,
a twoje długie, białe dłonie
mocno się wsparły o krawędzie.

NARCYZY.

W cudowny ranek spokojny i cichy,
kiedy się słońce zwolna w niebie toczy,
białych narcyzów srebrzyste kielichy
zwróciły na mnie swe złociste oczy.

I patrzę na nie. — I wzrok mój miłośnie
przechodzi szybko — szybciej nie potrafi —
by roześmiany, swobodnie, radośnie
na twojej białej spocząć fotografji...

Śmiejesz się do mnie z białego obrazka,
radość rozbłyska z twych ust i warkoczy,
i jakby niebios złotoprzędna łaska
patrzą w mą duszę twe błyszczące oczy.

I wszystko dla mnie tak dobre dziś, własne,
zaklęte w uśmiech subtelnej markizy,
gdy patrzą na mnie twe oczęta jasne,
gdy pachną przy mnie srebrzyste narcyzy.

* * *

Polubiłem Twoje usta roześmiane,
polubiłem Twój głos cichy, a upojny,
Twoje włosy, czarną wstążką przewiązane,
Twe uśmiechy, rozmarzeniem kołysane,
Twój wdzięk skromny, wdzięk lilijny, wdzięk
[spokojny.

Polubiłem Twoje ruchy wdziękiem ciche,
Twoje oczy, co głębokie, jak topazy,
polubiłem Twą przezroczą barwną Psyche,
co liczmany odrzuciła blaskiem liche,
co pod bólem się ugięła tyle razy.

Polubiłem Twoją postać, pełną czaru,
postać miękką, postać wiotką, jako trzcina,
postać nikłą, jak poranny zwój oparu,
co się w słońcu cicho wznosi z ponad jaru
i na drzewach uśmiechniętych się rozpina.

Polubiłem całą Ciebie, taką rzewną
taką dobrą, słodką, jasną i świetlaną,
cichą w bólu, w rozrzewnieniach duszy śpiewną
i zamkniętą jakąś dziwnie, i rozlewną,
dźwięczną śmiechem, lub rozpacznie rozełkaną.

Podaj mi Twe dobre, ciche, białe ręce,
niechaj niemi, jak kwiatami, usta pieszczę,
niech się stanie kres bezwoli i udręce...
Daj rączęta... Pieść mię niemi długo... jeszcze...
Niech nas przejmą rozmarzenia ciche dreszcze...
Podaj mi Twe dobre, ciche, białe ręce...

* * *

Zabrałaś mi cząstkę mej duszy,
maleńką, jak iskra opalu
i dziwny w mem sercu jęk żalu
rozlega się zgrzytem wśród głuszy.

Sam przecie odszedłem od Ciebie,
lecz duszy cząsteczka została, —
jak iskra opalu tak mała,
a jednak mnie smutkiem kolebie.

I chociaż mię nieraz ból grzebie,
choć serce na części mi pęka...
to jednak... niech cząstka maleńka
mej duszy zostaje u Ciebie.

* * *

Gdy jasne słońce w wiosenne południe
złotym rozblaskiem promieniście świeci,
wtedy wesołych, roześmianych cudnie
wychodzi w góry dwoje dużych dzieci.

Idą, pod rękę wziąwszy się serdecznie,
idą wśród wiosny cudownego blasku,
w duszach tak lekko im i tak słonecznie,
jak są lekkiemi ich ślady na piasku.

Siadają w cieniu drzew lub pod krzewami
— Jaś i Małgosia w jakiejś bajce Grimma —
i wnet się z cicha rozlega wierszami
powietrze wkoło Staffa lub Tuwima.

Potem rozmowy toczą się bez treści
a takie miłe i tak bardzo własne...
Potem... ostatnie rozdzielają wieści
ponure czasem, czasem bielą jasne.

I są szczęśliwi, choć biorą od życia
tylko słoneczne wiosenne południe,
bo rozumieją swych młodych serc bicia,
co się w harmonję układają cudnie.

* * *

I znowu przyjdzie wiosna w słonecznych promie-
[niach,
wiosna cudna, upojna, złocista, gorąca,
o cudownych wieczorach, rankach, rozelśnieniach,
złota, jasna, przecicha, namiętna, płonąca...

I znowu przyjdzie cichy jasny cud promienny,
drgający blaskiem słońca ciepłego na fali,
i miodny zapach kwiatów oszołomny, senny,
i jasna pól zieloność, cudna bezbrzeż dali...

I znowu przyjdą dziwne sennych marzeń roje,
i jasnem ciepłem życia zawrą krwi strumienie,
i obudzą się w duszy cudne niepokoje,
i żywiołowy okrzyk, marzące omdlenie...

I powstanie cud szczęścia w kwietnych aromatach,
cud złocisty, promienny, oszołomny, żywy...
. . . .
. . . .

I pocóż marzyć tutaj o wiośnie i kwiatach...
Czyż teraz podczas zimy nie jestem szczęśliwy?

* * *

Wychodzę gdzieś na góry i wyciągam ręce
do nieba do obłoków, do Boga, do słońca,
i całować chcę drobne listeczki młodzieńcze,
i tak mi dobrze, dobrze, tak dobrze bez końca...

I wołać chcę naokół potężnie, rozgłośnie,
że jasno mi na świecie, cudownie, wesoło,
że mi już szczęście złote rozkwita o wiośnie
i wplata mnie w cudowne zaczarowań koło.

Taki jestem wesoły, w duszy mam młodzieńcze
pragnienia, co wyrosły w sercu mi radośnie —
i śmieję się dziecinnie, w górę wznoszę ręce,
a z ust mi się wyrywa okrzyk na cześć Wiośnie.

I chciałbym w wyciągnięte miłośnie ramiona
objąć, światy, i kwiaty i ciebie — tak moją...
i radością mi błyska dusza rozelśniona,
a z serca rwie się okrzyk tylko na cześć Twoją.

PALMOWA NIEDZIELA.

Ciepło, jasno i niebo błękitne, a czyste
i uśmiechy słoneczne na ulicach, murach,
i obłoki lecące perlane, przejrzyste,
i ptaszęce piosenki w roześmianych chórach.

I cud jasny, radością życia przewspaniały...
I miłosne, cudowne na cześć wiosny psalmy.
— Pod kościół Święto-Jański, ten poważny, biały,
pójdziemy już od rana kupić sobie palmy,

Takie ładne, zielone z kwiacianą równianką
ozdobione w malutkie swe nieśmiertelniki,
świeże, jasne, spokojne. I barwną wiązanką
zdobni, pójdziemy zbierać słoneczne promyki.

I po twarzy nas muskać będą jasne, szare,
aksamitne w dotknięciu, cudne wierzbne baśki...
Biednym damy pieniądze. Babuleńki stare
będę dla nas szeptały swe zwykłe zdrowaśki.

I wrócimy do domu jaśni i świetlani,
w tych krótkich kilku chwilach mając szczęścia
[wiele
i będziemy jak dzieci małe roześmiani
w tę cudowną, słoneczną Palmową niedzielę.

* * *

Jaśminów biel i Twoich ust szkarłaty...
Słoneczny blask i oczu Twych topazy...
Wiosenny dzień... upojne wonią kwiaty...
Uśmiechów jaśń... przyszłości cud-obrazy...

I rozmów toń przepastna, a zachłanna...
Muzyki czar w chrabąszczych skrzydeł chrzęście...
Radosny krzyk, co dusza śle — hosanna!..
Czyż w życiu może być bardziej prawdziwe
[szczęście?..

* * *

Przyjdź do mnie w porannej poświacie,
różowa, jak jutrznia wschodząca,
w usianej perłami ros szacie,
srebrzysta konaniem miesiąca;

przyjdź do mnie i pieść mię blaskami
swych oczu, co patrzą miłośnie,
i czaruj wyrazów drganiami,
co szepczą o szczęściu i wiośnie.

Przyjdź do mnie w południa rozgwarze,
upałem słonecznym promienna,
powiewna, jak mgła na moczarze,
płonąca, zmęczona, półsenna.

I połóż mi głowę na ramię
i oprzyj się o mnie bezwładnie...
I mów... A w wyrazów twych gamie
całe życie tak barwi się ładnie.

Przyjdź do mnie w wieczornej roztoczy,
gdy z ziemi upojna woń bije,
i daj mi całować twe oczy,
twe ręce, twe usta, twą szyję.

I daj mi spoglądać w twą duszę,
co blaskiem cudownych skier świeci.

. . . .

Wsłuchani w wieczornych słów głuszę
będziemy szczęśliwi jak dzieci.

WIEŚNIACZKA.

Lubię czasem w ciszy sennej, ćmiąc powoli pa-
[pierosa,
w myślach widzieć twoją małą, drobnoręką, smu-
[kłą postać,
kiedy—sama—przyszłaś cicha, w chłopskiej sukni,
[biedna, bosa,
by z twym panem ukochanym jakby z mężem
[zawsze zostać.

I powstaje mi pytanie pośród dymów upowicia,
czy naiwność twa bez granic jest to tylko krótkie
[śmienie,
czy też może i w codziennej szarej monotonji życia
masz te same małe myśli i to samo upragnienie?

Jeśli tak—to dziwnie szkoda, że nie jestem twoim
[panem,
co wśród nocy z ust koralu mógłby czerpać sło-
[dycz życia,
a zaś potem... precz rozkazać pójść od siebie już
[nad ranem,
syt rozkoszy twego ciała, twej młodości i użycia.

NASZ WIEK.

I.

Nasz wiek bezpański jest i bezstylowy —
symbol mu — Bezkres, piękne to — co wszędzie
przed każdą pieśnią chętnie ugnie głowy,
jeśli o pięknie cudowny sen przędzie.

Niema on boga, jak dawnemi laty,
a wszystkie bóstwa ceni jednakowo:
sztuka, czy w miękkie przyodziana szaty,
czy ciałem naga — zawsze mu królową.

Wielbi on czary epikureizmu,
chwali natchnione pragnienia ascezy,
kocha subtelną muzykę liryzmu,
a w zimne epos bohaterskie wierzy.

Imię mu Kontrast i Harmonja imię,
z głową do góry w przyszłość idzie śmiało,
czcząc i okruchy i twory olbrzymie,
wielbiąc Żywioły, Sztukę, Piękno, Ciało.

Wszystko, co piękne, czyli to anioła
ma postać, czyli głuchy śmiech szatański,
do życia, trwania w imię Piękna woła
nasz wiek bez kultu szczegółów, bezpański.

II.

Lubię nasz wiek bezpański, lubię właśnie za to,
że nikt nie rządzi nim władnie, bezsprzecznie;
że błazna czapkę lichą, wytartą, uszatą
narówni z suknią mnicha czci stale i wiecznie.

Lubię — bo miłość wielbi, stawia jej świątynie
i kadzidlane psalmów do nóg ściele dymy,
a także w swej rozpuście wyuzdanej ginie
i czci ją w upojeniu rozwięzłemi rymy.

Lubię — bo karze zbrodnie i czci je zarazem,
lubię, — bo równo prawdą jak i kłamstwem żyje,
bo choć na przyszłość rzuca potępienia głazem
u nóg się jej z pokorą uniżoną wiję.

Lubię — bo ma przeciwieństw niezliczone tłumy,
bo prawa i bezprawia rozmnaża miljony;
lubię ten wiek poniżeń i strzelistej dumy,
wiek z ascezy i dzikiej herezji zrodzony.

PRZEKŁADY.

KONSTANTY BALMONT.

Przychodzę jako mara, a znikam jako cień
jam pełen snów jak wieczór i pełen iskr jak dzień

pragnąłem cię przez chwilę, lecz moment szybko
[zgasł...
A wtem... powstała, dziwne, w mych oczach twoja
[twarz...

Szczęśliwy byłem tobą, tyś była bliską mi...
Bez granic, jak dni kwiatów płynęły nasze dni,

ty nawet nie wiedziałeś, że jesteś panią mą,
a mnie szeptano wokół „Jakżeś szczęśliwy z nią".

Twój duch biało-różowy był pogrążony w śnie,
a mój, przez ciebie jasny, w uśpieniu kochał cię...

Jam znów twój — bezcieleśnie... Spójrz, jak już
[blisko dzień...
Przyszedłem znów jak mara... odejdę znów jak
[cień...

ZŁOCISTE MORZE.

Jest morze złociste...
Na morzu złocistem,
milczącem, tajemnem jak czar
jest drzewo ze złota
co stoi samotne
i świeci i płonie by żar.
Na drzewie złocistem
sęp cały ze złota
— żelazne pazury ma sęp —
kto nielub mu twarzą
zabija go wzrokiem,
a ciało rwie w krwawy szmat — strzęp.

Jest morze złociste,
na morzu złocistem
Biał-kamień swą bielą dziw — gra,
na Białym kamieniu
dziw-Pani prze-krasna
wśród szumu bałwanów wiek trwa.
Na morzu złocistem
pod Białym kamieniem

rozwarty żelaznych cień wrót —
i siedzi cud Pani, a pod nią głębiny,
a pod nią i bezdna i cud.
A morze złociste barwami się mieni,
a w morze na dno idzie trup — —
— to krasna cud Pani
gdy miły kto dla niej
posyła go bezdnom na łup.

* * *

Gdy byłem dzieckiem małem i płochem,
wzrok mój otwarty był, czysty.
— Wiesz o tem, że rankiem nad morzem szero- [kiem
rumieni się piasek złocisty? —

Gdym był młodzieńcem skrytym, nieśmiałym,
tęsknotą żyłem daleką...
— Czy wiesz, że w tumanie powiewnym i białym
rusałki pląsają nad rzeką? —

Gdym stał się namiętnym i władzy pragnącym,
szaleję za wszystkiem, co kroku...
—Czy wiesz, jak okropnie ze wzrokiem tęskniącym
samotnym powracać o zmroku? —

LEŚNE TRAWY.

Lubię ciche leśne trawy,
co samotne,
pocałunki i zabawy
niepowrotne.

I wezwania małych dzwonków
oddalone,
Nad strumieniem stare wierzby
pół-uśpione.

Linje twarzy, co nieznane
w czasie giną,
Cienie bajek, czarowane
snów godziną.

I co złudą duszę mami
i podsyca
co jak wieczna błyszczy łzami
tajemnica.

APUCHTIN.

MUCHY.

Muchy, jak myśli koszmary, dzień cały spokoju
[nie dają,
klują, i syczą, i brzęczą, nad głową zmęczoną latają;
nie zdążysz jednej odpędzić na oku inna ci siada;
i gdzież się schować?—doleci wszędzie ich czarna
[gromada.
Rozmowa rwie się i pęka... książka osuwa się
[z krzesła...
Hej, żeby wieczór już nadszedł!.. hej, żeby noc
[już nadeszła!..

Myśli, jak roje much czarnych noc całą spokoju
[nie dają:
kłują, i brzęczą, i palą... nad głową zmęczoną latają;
gdy zechcesz jedną odpędzić — druga za serce
[cię chwyta:
przed oczy staje ci młodość, w marzeniach bez
[sensu przeżyta...
kochasz ją coraz boleśniej, choć pragniesz, by
[mara już przeszła...
Hej, żeby noc już prawdziwa, wieczysta noc już
[nadeszła!

LERMONTOW.

Fragment z poematu „Demon”.

Jam ten, któregoś ty słuchała
zadumy pełna w nocy czas,
myśl czyja duszy twej szeptała,
któregoś smutek zgadywała,
któregoś śniła, gdy dzień zgasł.
Jam ten, którego oczy szydzą,
kiedy nadziei wzrasta kwiat;
jam ten, którego nienawidzą,
którego przeklął cały świat.
Nic dla mnie lata, dnie, godziny...
Jam niewolników ziemskich bóg,
jam król poznania i swobody;
jam niebios wróg; jam zło przyrody...
I widzisz?.. Jam u twoich nóg...
Jam tobie przyniósł w rozmarzeniu
miłości mojej ciche sny,
i duszę w ziemskiem umęczeniu
i moje pierwsze w życiu łzy.

* * *

I tęskno, i smutno, i nikt mi nie poda już ręki,
gdy dusza się moja rozpłacze...
Pragnienia! Czyż warto pragnienia napróżno nieść
[męki?
A lata wciąż płyną... Najdroższe dni życia—tułacze.

Cóż? Kochać? Lecz kogóż? Na chwilę nie warto,
a kochać nie można nazawsze...
Chcesz spojrzeć w głąb duszy? Tam wszystkie
[wspomnienia zatarto...
Nic niema, nic niema, co było nam kiedyś
[łaskawsze!

Namiętność? Ugasną jej czary zwietrzałe
rozsądek je zgasi przedwczesny.
A życie, gdy spojrzysz uważnie w te dni spowszed-
[niałe,
żart taki bez sensu, bolesny.

SŁOWA.

Lubię czasami rzucać—ot tak—na wiatr—słowa,
słowa pełne rozkoszy, radości, natchnienia,
przepełnione weselem, jak czara godowa,
barwne obrazy duszy, cudowne marzenia.

Lubię, gdy z wiatrem lecą duszy mej obrazy,
hen, w świat jasny, kochany, przyszłością brze-
[mienny,
w świat, co w myślach mi staje bez wady i skazy,
rozhukany młodością, nadziejami senny.

Słowa moje beztroskie, szybko we świat płyną,
dźwięczne, głośne, wszechmocne, czarujące słowa,
pełne Ciebie, cudowna ma biała dziewczyno,
pełne duszy mej młodej jak czara godowa.

Zapominam o szarej życia monotonji,
o przykrych załamaniach, ponurej rozterce,
bo gdy mówię o Tobie — jam pełen harmonji,
a zgoda z światem, z sobą przepełnia mi serce.

SPIS RZECZY.